

Szcześliwy książkę

Oskar Wilde



calibre 0.9.27

SZCZĘŚLIWY KSIĄŻĘ

Oskar Wilde

Na wysokim cokole, górując nad miastem, wznosił się pomnik szczęśliwego księcia. Cały był pokryty delikatnymi złotymi blaszkami, oczy miał z dwóch błyszczących szafirów, a na rękojeści jego miecza świecił olbrzymi rubin.

Ogromnie go też podziwiano — ogromnie. — Jest tak piękny jak kurek na dachu — zauważył jeden z radców miejskich, usiłujący przez okazywanie artystycznych skłonności zdobyć sobie dobre imię. — Tylko mniej użyteczny od kurka — dodał obawiając się, by go nie posądzono o brak zmysłu praktycznego... co wcale nie byłoby zgodne z prawdą.

— Czemu nie jesteś takim jak szczęśliwy książę? — pytała czuła matka swego synka, który napierał się księżycą z nieba; — Szczęśliwy książę nigdy się niczego nie napiera.

— Jestem kontent, że przynajmniej jeden człowiek na świecie jest całkiem szczęśliwy — mruknął zawiedziony w swych nadziejach przechodzień rzucając okiem na pomnik.

— Wygląda jak anioł — mówili mali wychowankowie sierocińca wychodząc z katedry w purpurowych płaszczykach i śnieżnobiałych fartuszkach.

— Skąd wiecie, jak wygląda anioł? — spytał profesor matematyki. — Przecieżeście go nigdy nie widzieli.

— O, widzieliśmy... we śnie! — odpowiedziały dzieci. A profesor matematyki zmarszczył czoło i gniewnie zsunął brwi, z zasady będąc przeciwnikiem wszelkich snów dzieciennych.

Pewnej nocy przelatywała nad miastem jaskółeczka... Towarzyszki jej przed sześciu tygodniami odfrunęły już do Egiptu, ona jedna tylko została, zakochawszy się w prześlicznej trzcinie. Po raz pierwszy ujrzała ją była na wiosnę, uganiając się nad rzeką za dużym, żółtym motylem; zachwycona smukłością trzciny, nieruchomo zawisła w powietrzu i wszczęła rozmowę.

— Czy wolno cię kochać? — spytała jaskółka, przyzwyczajona zmierzać zawsze wprost do celu. A trzcina głęboko się przed nią pochylila.

Więc jaskółeczka poczęła fruwać dokoła trzciny, skrzydełkami muskając wodę, na której tworzyły się lekkie fale. Był to rodzaj zalotów, trwających całe lato.

— Śmieszne przywiązanie — świegotały inne jaskółki — toż ta trzcina nie ma żadnego majątku, a tak liczną rodzinę. — Bo w istocie brzegi rzeki całkiem były porośnięte trzcina.

Z nadejściem jesieni wszystkie jaskółki odleciały za morze. Wówczas jaskółeczka uczyła się bardzo osamotnioną, i miłość do trzciny poczęła ją niecierpliwic.

— Niepodobna z nią prowadzić porządnej rozmowy — mówiła — przy tym zaczynam ją podejrzewać bo brzydką kokieterię, bo wszak najwidoczniej flirtuje z wiatrem. — I istotnie, za każdym powiewem wiatru trzcina wykonywała przed nim najwdzięczniejsze dygi!

— Przyznaję, że jest gospodarna i lubi zacisze domowe — mówił ptak — ale ja lubię podróżować, więc i moja żona musi to lubić.

— Pójdziesz ze mną? — spytała wreszcie jaskółka. — Ale trzcina przecząco potrząsnęła głową — zbyt była przywiązana do ojczyzny.

— Więc igrałaś mym uczuciem! — zawołała jaskółka. — Dobrze! Ja lecę teraz na piramidy. Żegnaj! — I odfrunęła.

Niezmordowanie szybowała przez cały dzień, a wieczorem doleciała do jakiegoś miasta.

— Gdzie teraz zamieszkać? — mówiła do siebie. — Sądzę, że miasto poczyniło przecież

odpowiednie przygotowania.

Wtem zobaczyła pomnik na wysokim cokole.

— Tu pozostanę — zawołała radośnie — doskonały będę mieć nocleg na świeżym powietrzu! — To rzekłszy, wygodnie usiadła w zagłębieniu u stóp księcia.

— Mam złocistą sypialnię — mówiła do siebie z zadowoleniem, rozglądając się dokoła. W chwili jednak gdy ukrywszy główkę pod skrzydełkiem zabierała się do snu, spadła na nią duża kropla deszczu.

— Dziwne! — zawołała jaskółka otrząsając się — na niebie nie ma najlżejszej chmurki, gwiazdy świecą i migocą, a jednak pada deszcz. Klimat północnej Europy jest istotnie okropny! Trzcina lubiła wprawdzie deszcz, ale powodował ją najzwyklejszy egoizm.

Wtem padła na jaskółkę druga kropla deszczu.

— Do czego służy właściwie taki pomnik, skoro nie może nawet dać schronienia przed deszczem? Obejrzę się raczej za jakim dobrym kominem — szepnęła do siebie, zabierając się do odlotu.

Ale zanim jeszcze rozwinęła skrzydełka, uczuła na sobie trzecią kroplę deszczu. Podniosła więc wzrok i zobaczyła... Co zobaczyła?

Oczy szczęśliwego księcia były napełnione łzami, i łzy spływały mu po złotych policzkach. Twarz jego w świetle księżycy tak była piękna, że serce jaskółeczki zadrżało współczuciem.

— Kto Jesteś? — spytała;

— Jestem szczęśliwym księciem.

— Więc czemu płaczesz? — spytała jaskółka. — Całkiem przemokłam od twych łez.

— Kiedy jeszcze żyłem i miałem ludzkie serce — mówił pomnik — nie wiedziałem, co znaczą łzy, mieszkałem bowiem w pałacu Sans-Souci, do którego troska nie miała przystępu. Dnie spędzałem na zabawach z towarzyszami, a wieczorem prowadziłem tańce w wielkiej sali balowej. Dokoła ogrodu biegł bardzo wysoki mur, ale mnie nigdy nie przyszło na myśl zapytać, co się za nim znajduje, tak mi było dobrze i wesoło. Dworzanie nazywali mnie szczęśliwym księciem, i istotnie byłem szczęśliwy — o ile radość oznacza szczęście. Tak żyłem i tak umarłem. A teraz, kiedy nie żyję, umieszczono mnie na tym cokole, tak wysoko, że mogę widzieć całą rozpacz i nędzę mojego miasta i serce moje, aczkolwiek z ołowiu, bezustannie musi płakać.

— Co? Więc nie jest cały ze złota? — szepnęła do siebie jaskółka. Zbyt jednak była uprzejma, by głośno wypowiadać osobiste uwagi.

— Daleko stąd — mówił pomnik cichym, melodyjnym głosem — daleko stąd, w wąskiej uliczce, stoi nędzny, stary dom. Jedno z okien jest otwarte — mogę przeto widzieć siedzącą przy stole kobietę, ma bladą zmęczoną twarz i szorstkie czerwone ręce, a palce pokłute igłą, gdyż jest hafciarką. Haftuje złote lilie na aksamitnej sukni, którą nosić będzie na balu dworskim najpiękniejsza dama dworu królowej. Na wąskim łóżeczku, w ciemnym kącie izdebki, leży chory chłopczyk. Zrywa się w niespokojnym gorączkowym śnie i błaga o pomarańcze. Ale matka nie może mu nic dać prócz wody studziennej, więc chłopczyk płacze i jęczy. Jaskółeczko, jaskółeczko, czy nie zechciałabyś jej zanieść ten rubin, świecący w rękojeści mego miecza, bo moje nogi tak są mocno przytwierdzone do tego cokołu, że nie mogę się ruszyć.

— Kiedy mnie oczekują w Egipcie — odparła jaskółka. — Towarzyszki moje lecą wzdłuż Nilu i rozmawiają z wielkimi kwiatami lotosu. Niezadługo ułożą się do snu w grobie wielkiego króla. Ubrany on jest w kosztowne żółte szaty i zabalsamowany. Na szyi ma łańcuch z bladozielonego nefrytu, a ręce zeschnęły niby żółte liście.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie możesz zostać u mnie przez tm go jedną

noc i być moją wysłanniczką? Chłopczyk jest taki spragniony, a matka jego taka smutna.

— Kiedy ja w gruncie rzeczy nie lubię chłopców — odparła jaskółka — bo gdy zeszłego lata mieszkałam nad rzeką, dwaj niedobrzy chłopcy, synowie młynarza, ustawicznie rzucali za mną kamieniami. Wprawdzie mnie nie trafili, bo my, jaskółki, latamy zbyt szybko, a ja pochodzę z rodziny sławnej nawet za granicą z chyżego lotu, ale w każdym razie był to z ich strony dowód lekceważenia.

Szczęśliwy książe miał jednak minę tak smutną, że; jaskółeczka szczerze się zmartwiła.

— Bardzo tu zimno — rzekła — ale mimo to zostanę u ciebie przez dzisiejszą noc i będę twą wysłanniczką.

— Dziękuję ci, jaskółeczko — rzekł książe.

Więc jaskółka wydziobała z rękojęści księcia olbrzymi rubin i trzymając go w dziobku wzbiła się wysoko ponad miejskie dachy.

Przeleciała koło wieży katedry ozdobionej białymi rzeźbionymi w marmurze aniołami, przeleciała koło zamku, z którego dochodziły dźwięki muzyki tanecznej. Prześliczna dziewczyna wyszła na balkon ze swym ukochanym.

— Jak cudnie migocą gwiazdy — szepnął młodzieniec — i jak czarodziejską jest potęgą miłości.

— Czy też moja suknia będzie gotowa na bal — odparła — kazałam na niej wyhaftować złote lilie. Ale te hafciarki takie są leniwe!

Jaskółeczka pofrunęła nad rzekę i zobaczyła latarnie, wiszące u masztów okrętowych, pofrunęła w stronę getta i zobaczyła starych Żydów, jak się targują i pieniądze ważą na wagach miedzianych. Wreszcie doleciała do starego nędznego domu i przez otwarte okno zajrzała do wnętrza mieszkania... Chory chłopczyk rzucał się niespokojnie w gorączkowym śnie, a matka zdrzemnęła się nad haftem, tak była znudzona. Więc jaskółeczka wleciała do izby i położyła olbrzymi rubin na stoliku, obok naparstka kobiety. Potem cichutko podleciała do łóżeczka i skrzydełkami poczęła chłodzić rozpalone czoło chłopczyny.

— Jak mi chłodno — szepnął chłopczyk — zdaje mi się, że wnet wyzdrowieję. — I popadł w sen głęboki, pokrzepiający.

Wówczas jaskółeczka ruszyła z powrotem do szczęśliwego księcia i opowiedziała mu, co uczyniła.

— Dziwne — rzekła — tak zimno na świecie, a mnie nagle zrobiło się całkiem ciepło.

— To dlatego, że spełniłaś dobry uczynek — rzekł książe, a jaskółka zamyśliła się nad jego słowami i zasnęła. Myślenie zawsze ją przyprawiało o senność.

O świcie zerwała się i poszybowała w stronę rzeki, by się wykapać.

— Co za rzadki fenomen — zadziwił się profesor ornitologii, właśnie przechodzący przez most. — Jaskółka w zimie! — Napisał o tym długi artykuł i umieścił go w jednym z najpoczytniejszych dzienników.

Artykuł wzbudził ogólne zainteresowanie, obfitował zresztą w taki balast słów, że prawie nikt nie wiedział, o co chodzi.

— Dziś wieczór lecę do Egiptu — powiedziała sobie jaskółka, a myśl ta sprawiała jej rozkosz królewską. Tymczasem odwiedzała wszystkie pomniki, aż wreszcie spoczęła na szczycie wieży kościelnej. Gdziekolwiek się ukazywała, dolatywał ją świegot wróbli: co za dostojna cudzoziemka! I jaskółka świetnie się bawiła.

Gdy księżyc ukazał się na niebie, pofrunęła do szczęśliwego księcia.

— Czy dasz mi jakie zlecenie do Egiptu? — zapytała — bo właśnie mam zamiar odlecieć.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książe — czy nie mogłabyś zostać u mnie jeszcze przez jedną noc?

— Oczekują mnie w Egipcie — odparła jaskółka — jutro moje towarzyszki ruszą do drugiego wodospadu. Tam hipopotam spoczywa wśród sitowia, a na olbrzymim tronie siedzi bóg Memnon. Całą noc spogląda na gwiazdy, a ukazanie się gwiazdy porannej wita przeciągłym okrzykiem radości, po czym znów popada w milczenie. W południe żółte lwy przychodzą gasić pragnienie nad brzegami rzeki, oczy mają zielone jak beryle, a ryk ich głośniejszy jest od huku wodospadu.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — daleko, daleko stąd, na drugim krańcu miasta, widzę młodego człowieka w ciasnej izdebce na poddaszu. Siedzi przy biurku, pochylony nad papierami, a przed nim, w szklance z wodą, wiązanka zwiędłych fiołków. Włos ma ciemny i jedwabisty, usta pąsowe jak owoc granatu, oczy duże, rozmarzone. Próbuje dalej pisać rozpoczęty dramat, ale palce mu drętwieją z zimna. Ogień dawno wygasł w piecu, a głód osłabił młodzieńca.

— Więc jeszcze przez dzisiejszą noc zostanę u ciebie — rzekła jaskółka, która istotnie miała dobre serce. — Czy mam mu także zanieść rubin?

— Ach, Boże! — westchnął książę — ja już nie mam drugiego rubinu, oczy mi tylko zostały, lecz są one z drogocennych szafirów, przed tysiącem lat przywiezionych z Indyj. Wydziób mi jedno i zanieś je głodnemu młodzieńcowi. Sprzeda go jubilerowi, kupi sobie za niego pożywienia i opału i dokończy swój dramat.

— Kochany książę — rzekła jaskółka — tego uczynić nie mogę. — I zaczęła płakać.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — zrób, jak ci powiedziałem.

Więc jaskółeczka wydziobała księciu jedno oko i uleciała z nim do izdebki na poddaszu. Łatwo się tam dostała, bo w dachu była ogromna dziura, i przez nią jaskółka wleciała do wnętrza domu. Młody człowiek, z głową wspartą na dłoniach, dumiał tak głęboko, że wcale nie słyszał szelestu skrzydeł ptaka i dopiero po jego odlocie zobaczył wśród zwiędłych fiołków cudnie błyszczący szafir.

— Zaczynają mnie wreszcie uznawać! — zawołał. — Niewątpliwie podarek od jakiegoś gorącego wielbiciela. Teraz będę mógł skończyć mój dramat — szeptał, a twarz jego jaśniała radością.

Nazajutrz jaskółka poleciała do portu. Usiadła na maszcie wielkiego okrętu i przyglądała się, jak majtkowie wyciągali z ładowni na grubych linach skrzynie.

— Ohoj! ohojoj! — krzyczeli za każdym pociągnięciem liny.

— Odjeżdżam do Egiptu! — zawołała jaskółka, ale nikt na nią nie zwracał uwagi, więc z nadejściem nocy odfrunęła do szczęśliwego księcia.

— Przyleciałam, by cię pożegnać! — zawołała.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie mogłabyś zostać u mnie jeszcze przez noc dzisiejszą?

— Już zima — odparła jaskółka — i za parę dni spadnie chłodny szkaradny śnieg. W Egipcie słońce gorące pieści teraz zielone palmy, a krokodyle leżą w mule i leniwie się przeciągają. Towarzyszki moje budują gniazda w świątyni Baalbek, a białe i różowe gołąbki gruchając przyglądają się ich robocie. Kochany książę, muszę cię teraz opuścić, ale nigdy cię nie zapomnę i zaraz z wiosną przylecę tu do ciebie i przyniosę ci dwa cudowne kamienie na miejsce tych, które darowałeś. Rubin będzie czerwiejszy od czerwonej róży, a szafir tak błękitny jak wielkie morze.

— Tam w najdalszej dzielnicy miasta — odparł szczęśliwy książę — stoi mała dziewczynka, sprzedająca zapalki. Ale zapalki wysypały się jej na ulicę, przemokły, i nikt ich nie chce kupować. Ojciec ją obije, jeśli nie przyniesie do domu pieniędzy, i dlatego biedactwo płacze. Nóżki ma bose i główkę odkrytą na tym strasznym wicherze. Wydziób mi drugie oko i zanieś jej, to ojciec jej nie ukarze.

— Jeszcze przez dzisiejszą noc zostanę u ciebie — rzekła jaskółka — ale oka ci nie wydziobię,

bo byłbyś już przecie całkiem ślepy.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — zrób, jak ci powiedziałem.

Więc jaskółka wydziobała księciu drugie oko i uleciała z nim ku miastu. Zatoczyła krąg nad głową dziewczynki z zapalkami i wypuściła z dziobka klejnot, który padł prosto na zziębniętą rączkę dziecka.

— Jakie śliczne szkiełko! — radośnie zawołała dziewczynka i śmiejąc się pobiegła do domu.

A jaskółka wróciła do księcia i rzekła:

— Teraz jesteś ślepy, więc na zawsze już zostanę z tobą.

— Nie, jaskółeczko — odparł biedny książę — ty musisz odlecieć do Egiptu.

— Na zawsze zostanę z tobą! — powtórzyła jaskółka zasypiając u stóp księcia.

Cały dzień następny siedziała na ramieniu księcia i opowiadała mu dziwne historie o wszystkim, co widziała w dalekich krajach. Opowiadała o czaplach, jak w długim szeregu stoją nad brzegami Nilu, dziobami łowiąc złote rybki; opowiadała o Sfinksie, który jest tak stary jak świat, żyje w pustyni i wie o wszystkim; opowiadała o kupcach, jak powoli kroczą obok swych wielbłądów, niosąc w rękach bryły bursztynu; o królu Gór Księżycowych, czarnym jak heban i modlącym się do olbrzymiego kryształu; o zielonym wężu, który śpi na palmie, a dwudziestu kapłanów karmi go plackami z miodem; i o karzełkach, co na szerokich płaskich liściach przepływają wielkie morze i wiecznie prowadzą wojnę z motylami.

— Jaskółeczko kochana — rzekł książę — cudowne mi opowiadasz historie, ale nad wszystko zajmujące jest ludzkie cierpienie. Żadna tajemnica nie jest tak wielka i potężna jak niedola człowieka. Wzleć nad miasto, jaskółeczko, a później mi opowiesz, co tam widziałas.

Więc jaskółeczka szybowała nad miastem i widziała bogaczy, opływających w zbytkach i rozkoszy, podczas gdy żebracy ginęli u ich progów. Szybowała nad ciemnymi uliczkami i widziała blade twarzyczki zgłodniałych dzieci, posępnie patrzących na smutne, ponure ulice. Pod arkadami mostu zobaczyła dwóch chłopczyków, oplatali się nawzajem ramionkami, chcąc się rozgrzać.

— Tak nam się chce jeść — jęczeli.

— Nie wolno tu leżeć — burknął policjant przechodząc koło mostu i biedne dzieci musiały wędrować w mrok i deszcz. Jaskółeczka poleciała do księcia i opowiedziała mu co widziała.

— Cały jestem pokryty złotem — rzekł książę — musisz ze mnie zdejmować blaszka po blaszce i rozdawać je moim ubogim. Wszyscy ludzie żyjący zawsze sądzą, że złoto daje szczęście.

Więc jaskółeczka zdejmowała dziobkiem jedną złotą blaszkę po drugiej, aż wreszcie szczęśliwy książę, ogołocony z wszystkich ozdób, stał się zupełnie szary. I jaskółeczka nosiła jedną blaszkę po drugiej ubogim, a twarzyczki dzieci zaróżowiły się i rozweseliły.

— Teraz mamy co jeść! — szczebiotały na ulicach.

Potem nadszedł śnieg, a za nim mróz. Ulice wyglądały, jakby były całe ze srebra, tak się świeciły i migotały. Długie sopele lodu niby sztylety kryształowe zwieszały się z dachów, ludzie chodzili otuleni w ciężkie futra, a mali chłopcy w czerwonych czapkach ślizgali się, gdzie tylko napotkali lód.

Biednej jaskółeczce było z każdym dniem zimniej i zimniej, ale zbyt kochała księcia, by go mogła porzucić. Zbierała okruszynki przed piekarnią, gdy piekarz się oddalał, i starała się rozgrzać, ustawicznie trzepocząc skrzydełkami.

Ostatecznie jednak poczuła, że zbliża się jej koniec. Tyle jeszcze miała sił, by wzlecieć na ramię księcia.

— Żegnaj, kochany książę — szepnęła — czy mogę ucałować twą rękę?

— Cieszę się, jaskółeczko, że wreszcie odlatujesz do Egiptu; zbyt długo już tu bawiłaś — rzekł książę. — Ale musisz mnie pocałować w usta, bo cię kocham.

— Ja nie odlatuję do Egiptu — odparła jaskółka — lecz do krainy Śmierci. Śmierć jest siostrą snu, nieprawdaż?

Ucałowała szczęśliwego księcia w usta i nieżywa padła u jego stóp. W tejże chwili z wnętrza pomnika wydobył się dziwny dźwięk, jakby coś pękło. Istotnie pękło w nim ołowiane serce. Bo też mróz był straszliwy...

Nazajutrz wczesnym rankiem burmistrz przechadzał się po mieście w towarzystwie radców miejskich. Przechodząc koło pomnika, rzucił nań okiem i krzyknął:

— Na Boga! Jakże nędznie wygląda szczęśliwy książę!

— Jak nędznie! — zawtórowali jednogłośnie radcy, którzy zawsze podzielali zdanie burmistrza, i podeszli bliżej do pomnika.

— Rubin wypadł mu z rękojeści miecza i oczu już nie ma ani poślótki — rzekł burmistrz — wygląda teraz jak ostatni żebrak.

— Jak ostatni żebrak — powtórzyli radcy.

— I w dodatku nieżywy ptak leży u jego nóg — oburzył się burmistrz. — Będziemy musieli co prędzej wydać rozporządzenie, że ptakom wzbroniono na tym miejscu umierać. — A sekretarz burmistrza na poczekaniu wniosek ten zaprotokołował.

Wkrótce usunięto pomnik szczęśliwego księcia. — Przestał być ładny, więc jest bezużyteczny — objaśnił profesor historii sztuki.

Następnie przetopiono pomnik w giserni, a burmistrz zwołał zgromadzenie, celem obrady nad tym, co począć z metalem.

— Oczywiście musimy mieć inny pomnik — rzekł burmistrz — niechże więc będzie mój!

— Mój! — równocześnie zawołali wszyscy radcy i rozpoczęli sprzeczkę. Gdy o nich słyszałem po raz ostatni, sprzeczka ta ciągle jeszcze nie była ukończoną.

— Dziwne — mówił inspektor giserni — to pęknięte serce z ołowiu w żaden sposób nie da się przetopić.

Musimy je odrzucić. — I odrzucił je na śmietnik, gdzie leżała martwa jaskółka.

— Przynieś mi dwie najkosztowniejsze rzeczy z tego miasta — rzekł Bóg do jednego ze swoich aniołów, a anioł przyniósł ołowiane serce i martwego ptaka.

— Dobry zrobiłeś wybór — rzekł Bóg — bo ptak ten wiecznie będzie śpiewał w mych rajskich ogrodach, a szczęśliwy książę po wieki chwalić mnie będzie w moim złotym grodzie.

Przygotowano na podstawie bookini.pl